

SKRADZIONE

Godziny

KAREN SWAN

BUKOWY LAS

Drogi Czytelniku!

Dziękuję za sięgnięcie po *Skradzione godziny*, drugą część sagi gaelickiej. Osadzona na odległym szkockim archipelagu St Kilda akcja rozgrywa się w momencie zwrotnym, kiedy to latem 1930 roku mieszkańcy zostali ewakuowani na wyspę Wielka Brytania, co położyło kres dwóm tysiącom lat osadnictwa na St Kildzie.

Seria czerpie z faktów historycznych i odtwarza realia, lecz zarówno postaci, jak i problemy, z którymi się one mierzą, są fikcją literacką. Każda z książek skupia się wokół innej młodej kobiety z St Kildy – wszystkie są przyjaciółkami i sąsiadkami – jednak ich historie splata kluczowa, wspólna tajemnica. *Skradzione godziny* opisują losy Mhairi McKinnon, podczas gdy *To ostatnie lato* dotyczyło jej najlepszej przyjaciółki Effie Gillies. Powieści można czytać w dowolnej kolejności, lecz gorąco zachęcam, by zacząć od *Tego ostatniego lata*, tak by jak najpełniej rozeznac się w aluzjach, które są subtelnie rozwijane w kolejnych odsłonach serii.

Jeżeli jednak nie możesz tego uczynić albo po prostu przydałoby Ci się zwięzłe przypomnienie wydarzeń z *Tego ostatniego lata* – wszak wielu Czytelników już rok czeka na drugą część – to krótko mówiąc, jest to historia miłości nieliczącej się z odległością geograficzną, pozycją społeczną i niebezpiecznie zazdrosnym mężczyzną. W *Skradzionych godzinach* kątem oka dostrzeżesz zmagania Effie i jej oszałamiający nowy

związek, lecz w istocie musisz wiedzieć jedynie, że gdy wyspiarze opuścili St Kildę, Frank Mathieson – faktor właściciela archipelagu – zaginął, a później na wyspie natrafiono na jego ciało, co prowokuje pytanie, co się wydarzyło ostatniej nocy przed wyjazdem.

Na końcowych kartach *Tego ostatniego lata* Effie – obiekt niechcianych zalotów Mathiesona – odkrywa, że Scotland Yard zbiera przeciwko niej dowody.

Ci, którzy książkę przeczytali, zapewne nie przebaczyli mi jeszcze trzymającego w napięciu, nierozstrzygniętego finału, a choć w historii Mhairi pada odpowiedź na niektóre pytania, stawiane są kolejne, okazuje się bowiem, że nie tylko Effie mogła mieć motyw, by pozbawić faktora życia.

Witaj z powrotem na St Kildzie...

Miłej lektury.

Pozdrowienia,

Karen

Prolog

5 września 1929
Morze Północne

Mhairi krzyczała, kiedy dwaj mężczyźni okładali się pięściami. Maleńką kabinę wypełniał smród whisky i sadzy. Statek wielorybiczny znów zachwiał się w ciemności i sfrunął ze szklistego urwiska, aż oboje uderzyli gwałtownie w ścianę. Pasek, który dziewczyna miała przywiązany w talii, sprawił, że nie spadła z materaca, lecz o ile dzięki niemu nie miotało ją jak szmacianą lalką, o tyle jednocześnie mimochodem więził ją, tak że nie mogła uciec.

Donald się podniósł i wymierzając trzy mocne, szybkie ciosy, kolejny raz przygrzmocił wielorybnikowi w nerki.

– *Aye*, dobra! Dobra! – wrzasnął tamten, zasłaniając głowę ramionami i kuląc się dla ochrony.

– Następnym razem kulasy połamię, jasne?! – krzyknął Donald. Prężąc mięśnie, unosząc pięści, zaciskając zęby, z ogniem w oczach czekał, aż mężczyzna zbierze się chwiejnie i zniknie mu z oczu. Dopiero po chwili uznał, że jest już bezpiecznie, i odwrócił się do niej.

Gdy zajrzał do kajuty, zauważył jej wytrzeszczone z przerażenia oczy, dłonie rozcapierzone na ściankach po obu stronach wąskiej pryczy.

– Już dobrze, Mhairi. Jest pijany, ale życie mu miłe. Nie wróci.

– A jeśli będą inni?

Znów zacisnął zęby.

– Innych nie będzie.

– Skąd ta pewność? – upierała się.

– Stąd. Będę tuż za progiem. A teraz spróbuj się przespać. Za parę godzin dotrzemy na miejsce. – Otaksował ją spojrzaniem, jakby sprawdzał, czy nie została poturbowana i czy nie musi czegoś zgłosić jej ojcu. Nie wiedział, że rany, które Mhairi nosi, są niewidoczne. Popatrzył na nią jeszcze raz z zadumą, jakby nadal wyczuwał jej wcześniejszą wrogość. Nie pokłócili się, a mimo to spór wręcz namacalnie wisiał w powietrzu. – No to dobranoc, Mhairi.

Cofnął się i zamknął drzwi stanowczym gestem. Wpatrywała się w nie kilka chwil, nie spuszczać oczu z klamki, bojąc się, że ta znów się poruszy. Nie podzielała przeświadczenia, że noc upłynie spokojnie. Dzisiaj jak nigdy przekonała się, że nie wolno jej ufać nikomu.

Nie mogła po prostu leżeć. Nie powinna zasnąć. Musi zachować czujność... Potrzebna jej będzie broń. Traf chciał, że tym razem Donald przeszkodził wielorybnikowi, ale Mhairi nie mogła więcej na niego liczyć.

Gdy tu szła, zauważyła, że na ścianie wisi topór. W kajucie brakowało miejsca, by się nim zamachnąć, ale może już on sam wystarczy, by następny pijus się zreflektował.

Czekała, aż łódź ponownie się zakołysze. Pomiędzy wznoszącymi falami zawsze następował moment zawieszenia, gdy nieco łatwiej było się poruszać, więc odczekała do tej chwili względnego spokoju, a następnie wstała i podeszła do drzwi. Zaparła się, rozstawiając szeroko stopy. Kiedy jednak łódź runęła w dół, Mhairi rzuciło o ścianę kajuty, tak że uderzyła się w ramię. Po chwili już stała wyprostowana. Przyłożyła oko do wizjera i wyjrzała – musi się upewnić, czy na korytarzu nikogo nie ma, zanim...

Zmarszczyła czoło na widok Donalda nadal stojącego w przejściu na wprost drzwi między dwiema pionowymi stalowymi belkami, z ramionami przeplecionymi przez wąskie szpary. Stopę oparł o jej drzwi, głowa opadała mu na piersi, bo – rzecz niepojęta – próbował spać.

Patrzyła, jak jego ciało się chwieje w rytm fal, ulegając mu, zamiast się opierać. Naprawdę zamierzał sterczeć tu przez całą noc?

Łup! Odrzuciło ją ponownie, aż jęknęła. Już tutaj było kiepsko, wręcz nie umiała sobie wyobrazić, jak miało nim w korytarzu... Przypomniała sobie jego sińce po podróży w przeciwną stronę i paskudnie rozciętą wargę. Robił to już wcześniej? Czuwał przy jej drzwiach, strzegł jej, jedynej kobiety na statku pełnym mężczyzn?

Przyglądała się, jak znów zbiera się do snu, blady, z zaczerwienionymi kłykciami, poobijany, z zamkniętymi oczami, lecz nadstawionym uchem. Nadal się na niego gniewała – nigdy mu nie przebaczy tego, co zrobił – lecz jak zawsze w jego obecności czuła się bezpieczna. Chroniona.

Jej niedoskonały bohater, jej przyzwoitka.

Rozdział 1

Cztery dni wcześniej Hirta – St Kilda

Zapadał zmrok, gdy wieloryb eksplodował nagłą erupcją szkarłatnych pióropuszy, odcinających się wciąż od ciemniejącego nieba. Mhairi McKinnon podniosła wzrok znad brykietów torfu, które układała, i przyglądała się, jak krew płami jasne morze, a wędrowne morskie ptaki, rozdrażnione do amoku, krążą gwałtownie na wznoszących się prądach. Od kilku dni bezowocnie dziobały truchło, odkąd tylko rybacy przytwierdzili je do boi u wlotu do zatoki. Wezmą je ze sobą lada dzień, gdy będą wracać na stację wielorybniczą na wyspie Harris.

Oby jak najprędzej. Na szczęście akurat nie wiało i niebo późnego lata rozciągało się w bezkresnym błękicie, więc ohydny fetor gnijącego mięsa unosił się nad wyspą, wdzierał się we włosy i odzienie mieszkańców, a jej matkę doprowadzał do szewskiej pasji. Teraz jednak, gdy wstrętny odór wyzwolił się z mięsistych murów, roztoczy się nad wodą jak niewidzialny obłok – coś jak obrywające się chmury, które wyłaniały się niekiedy znad grani Mullach Bi i niespodziewanie gwałtownie wypływały całą swoją zawartość.

Mhairi spojrzała w dół z bocza ku wiosce. Stała nieopodal muru wieńczącego wał, więc wyraźnie widziała kobiety w drzwiach swoich domków przyglądające się widowisku, psy

sunące na plażę i żwawym krokiem podążających za nimi mężczyzn. Wciągną kuter do wody i uratują dla siebie tyle łupu, ile się da. Przytwardzone cielsko stanowiło oficjalnie własność norweskiej kompanii wielorybniczej o nazwie Christian Salvesen – właściciel St Kildy, sir John MacLeod, wynajął przystań wielorybnikom – lecz truchło niebawem zatonie, a zyskają na tym wyłącznie wyspiarze, którzy zjedzą na kolację nietypowe mięso. Ich zwykła dieta składająca się z solonego fulmara, kaszki z nurzykiem czy jaj głuptaka była, łagodnie rzecz ujmując, ograniczona.

Weszła na krągłą obejmę kamiennego cleitu i przełożyła resztę torfu do sadzyka. Ten brykiet przygotowano wczesną wiosną i przechowywano przez lato w pradawnej budowlu, która od pokoleń wchodziła w skład nędznego posagu jej rodziny. Na liczącej dwie mile wzdłuż i wszerz wyspie znajdowało się ponad dwa tysiące cleitów, pstrzących krajobraz jak kulki do zabawy rozrzucone przez gigantów. Skonstruowano je w ten sposób, by do środka nie wdierał się deszcz, lecz wiatr mógł wiać swobodnie, tak by suszyć zamkniętą w nich zawartość. Bogaci goście zstępujący na brzeg z pokładów parowców i słupów zapewniali wyspiarzy, że cleity przypominają porośniętą trawą ule, lecz jako że na St Kildzie nie było pszczół, nikt za bardzo nie wiedział, co to znaczy.

Każda rodzina miała dziesiątki cleitów zlokalizowanych na całej wyspie. W niektórych przechowywano olej albo pióra z fulmarów, w innych solone ptaki, masło lub torf. Nierzadko do środka wmaszerowywały owce, by się schronić przed deszczem. Od czasu do czasu ktoś się nieźle przestraszył, gdy jakiś wścibski ptak powściągał ciekawość i trzepocząc skrzydłami, wpadał na człowieka.

Mhairi się wyprostowała i wyprężyła ręce nad głową, by rozciągnąć kręgosłup, przypatrując się, jak mężczyźni holują łódź na skraj wody. Przewodził im ze zwykłym u siebie wigorem barczysty Norman Ferguson, za nim stali Donald McKinnon i najstarszy brat Mhairi, Angus; ojciec Flory Archibald

chwycił wiosła; jej najlepsza przyjaciółka Effie i jej wuj Hamish Gillies zamykali grupkę. Mieli od siedemnastu do czterdziestu sześciu lat, lecz pracowali płynnie i synchronicznie, nawykli do szybkich wodowań. Jedynie faktor Frank Mathieson nie dotrzymywał rytmu. Miejscowy przedstawiciel właściciela przyплыł na drugą ze swych dwóch dorocznych wizyt – tym razem przywiózł zapasy na zimę i miał zebrać czynsze. Cały tydzień wszyscy się denerwowali, bo kwestionował wagę piór, klasę oleju z fulmara, jakość charakterystycznych dla wyspy tweedów... Jego nieustannie zmarszczone brwi dawały im do zrozumienia, że nic nie jest takie, jak należy.

Przyglądała się, jak wyspiarze ściągają łódź i spuszcza ją na wodę, a Mathieson przechodzi trzy kroki po płyciźnie i wkracza na pokład jak lord we własnej osobie. Trzy szarpnięcia, a łódź już ciąła wodę jak ostrze błękitny jedwab.

Mhairi przerzuciła sobie szelki sadzyka przez ramiona i zesłała po stoku do wioski zbudowanej wzdłuż południowo-wschodniego łuku zatoki w kształcie podkowy. Tworzył ją rząd niskich kamiennych domków przeplatanych zrzuconymi, cichymi, ciemnymi, krytymi strzechą przodkami, zwanymi *blackhouse*. Część mieszkańców nadal wykorzystywała je jako obory dla zwierząt czy spichrze, lecz zdarzało się, że na krótki czas ktoś ponownie je zasiedlał, kiedy spory w rodzinie przybierały na sile. Na przykład Norman Ferguson regularnie wynosił krzesło, na którym przesiadywał przy ogniu, i koc do starego *blackhouse'u* należącego do rodziny, gdzie kisił się buńczuczny i obrażony, dopóki jego umęczona żona Jayne nie przyszła i nie zabrała mebla oraz małżonka z powrotem do domu.

Pomiędzy domami biegła szeroka, utwardzona kamieniami ścieżka, znana jako Ulica. Jej granice wyznaczał niski murek, za którym rozciągały się długie poletka, zwężające się w stronę morza. Niewiele dało się tu uprawiać, ledwie parę ziemniaków i trochę jęczmienia, bo wiatr i krople wody znad morza zmówiły się przeciwko nim i zniszczyły glebę. Lepsze rezultaty przynosiły wzniesione grządki, ulokowane tu i tam w wąwozie,

oraz nieduże poletka, wydzielone między domami a wałem. Nie było drzew, które dawałyby owoc, drewno, opał czy cień, ale mieszkańcy mieli owce i kilka mlecznych krów, a spektakularne, przyprawiające o zawrót głowy urwiska po drugiej stronie trawiastych równin wąwozu gościły jedną z najwspanialszych na świecie kolonii morskiego ptactwa. Na St Kildzie nigdy im nie zabraknie mięsa ani jaj, a jedynie urozmaicenia.

Przeszła obok młodszego rodzeństwa, grającego na trawie w berka. Mały Murran, który dopiero co skończył pięć lat, zahaczył ramieniem o jej nogi i gdy zbliżała się do domu, obrócił się wokół niej jak wokół trzpienia. Cierpliwie odczekała w roli słupa, aż Ruda Annie też obok niej śmignie, rycząc z sześciolatniego zachwytu. Mhairi pamiętała oszałamiającą radość płynącą z pełnego brzucha i zachodzącego słońca, gdy kolejny dzień zapada się w cichą noc. Nie tak dawno i ona bawiła się w różne gry przed snem, siadywała w ciasnym kręgu z Effie, Florą i Molly, potem zaplatały sobie nawzajem włosy i paplały bez ustanku wysokimi, podnieconymi głosami. Teraz miały już osiemnaście lat i upojne dni dziewczęctwa zostawiły za sobą: w wiosce potrzebna była każda para silnych rąk i nóg.

Weszła z naręczem torfu i położyła go obok paleniska. Ojciec, nim pójdzie spać, dorzuci go do ognia. Torf będzie całą noc się żarzył, by rano przed śniadaniem dał się łatwo wskrzesić.

Matka energicznie zagniała ciasto, uderzając w mąkę, aż mroczną przestrzeń ożywiały niewielkie chmury pyłu. Odznaczała się urodą, a Mhairi odziedziczyła po niej ogniste, rude włosy i jasnoszare oczy, odróżniające się od błękitnego jak morze odcienia występującego niemal u wszystkich na wyspie. Płomienie w palenisku migotały niemrawo, lampa olejna wisiała na haczyku na ścianie, na razie niezapalona. Ojciec trzymał się zasady, że nie wolno lampy zaświecać, dopóki słońce nie osunie się za Ruival, górę po przeciwnej stronie zatoki. Na głębokim parapecie leżało kilka fulmarzych jaj otulonych dla bezpieczeństwa sianem, obok zaś spoczywała nieduża tabliczka, nadal nosząca ślady porannej lekcji czytania

jej siostry Christiny. Chatka jakimś cudem była jednocześnie zagracona i pusta: mieli prosty, żelazny piec i ruchome ramie nad ogniem do gotowania w większych garnkach. Wewnątrz komina wisiały łańcuchy, na których wędzi się mięso, po wodę chodziło się do strumyka. Zasiadali do stołu skleconego z trzech rodzajów drewna, które wyrzuciło morze, na dwóch starych ławkach przejętych z kościoła, gdy nowy pastor uznał, że wyposażenie świątyni jest niedostateczne. Ojciec miał własne krzesło z wysokim oparciem stojące przy palenisku, matka zaś wolała niski taboret. Poza tym mieli skrzynkę po ziemniakach wypchaną konopnym workiem, na której w czasie posiłków karmiono dziecko. Na ścianach wisiały przybory do gotowania i narzędzia do uprawy roli, na krokwiach przewieszono liny z końskiego włosia do wspinaczki, a w każdym kątku znajdowało się coś pożytecznego: maselnice, szczotki, gręplarki... W jednym rogu stała bokiem tara do prania, w drugi wciśnięto kołowrotek, na poddaszu przechowywano krosno.

W domach wszystkich sąsiadów niebawem pojawią się krosna, bo noce robiły się coraz dłuższe. Mężczyźni z wioski w zimowe wieczory zajmowali się tkaniem tweedu, lecz ojciec Mhairi, Ian, był na wyspie poczmistrzem, co oznaczało, że ma własne, wyjątkowe obowiązki: rozdział listy, które przyszły, i przygotowywał do wysyłki te napisane przez miejscowych. Poczta mieściła się w chybotliwym drewnianym budynekczku, wzniesionym na małym pagórku przylegającym do wioski, więc po każdej nawałnicy Ian musiał sprawdzać, czy placówka nadal stoi. Niekiedy trudno było uwierzyć, że w społeczności liczącej trzydzieści sześć osób ma tyle roboty i często musi pracować do późnej nocy... A mimo to, z przyczyn dla nikogo niepojętych, ludzie z łądu zapalali chęcią posiadania pocztówki z St Kildy z miejscowym stemplem. Worki przynoszone przez przepływające nieopodal wyspy trawlerzy i wielorybniki zawsze pękały w szwach i wymagały pilnej uwagi przed przybyciem kolejnej dostawy.

Zresztą w ich chatce i tak nie zmieściłoby się krosno, gdyby je zniesiono – mieszkało tutaj łącznie jedenaście osób i McKinnonowie stanowili najliczniejszą rodzinę, jaka została na wyspie, więc cisnęli się jak śledzie w beczce. Rodzice zajmowali pokój w szafie, nie zamykając drzwi, bo mały Rory, niespełna jedenastomiesięczny, sypiał w szufladzie w kuchni. Mhairi jako najstarsza z dziewcząt miała w sypialni własną wąską pryczę, lecz dużym łóżkiem z zasłonami musiały się dzielić Christina, lat dwanaście, Euphemia, lat dziesięć, sześćioletnia Ruda Annie, pięcioletni Murran i trzyletni Alasdair, którzy na zmianę spali pokotem z głowami w nogach. Starsi bracia – dziewiętnastoletni Finlay i dwudziestoletni Angus – chodzili na noc do obórki zarówno z konieczności, jak i z wyboru. Gdy się ożenią, będą mogli się przeprowadzić do jednego z kilku domów, które stały puste, odkąd Dougie McDonald wraz z rodziną parę lat temu wyruszył do Australii. Nie mogli jednak przebierać wśród panien – obecnie na wyspie w wieku stosownym do zamążpójścia były tylko Effie Gillies, Flora MacQueen i Molly Ferguson, a żadna z nich nie tolerowała jej głupekowatych braci. Molly do imentu durzyła się w bracie Flory Davidzie, Effie tylko złamałaby im ducha, Flora zaś serca.

– Cześć.

Mhairi podniosła wzrok. O diablicy mowa.

– Idziesz na plażę? – zapytała Flora, stojąc w progu z lampą oliwną. Jej sylwetka z talią osy rysowała się wyraziście na tle gwiazdnej purpury nieba.

– *Aye*. – Mhairi sięgnęła na parapet po lampę. Nim wróca, będzie już ciemno, wieczory zapadały coraz wcześniej.

– Powiedz braciom, żeby wzięli dla psów ochłapy, jeśli się uda! – zawołała do niej matka, gdy wychodziły.

Szły razem Ulicą, mijając otwarte drzwi zapracowanych, cichych domków, których mieszkańcy szykowali się do kolejnej nocy. Przed pełgającymi płomieniami stały cynowe wanny, najmłodsze dzieci wdziewały koszule nocne, starsze wracały

w półmroku znad strumienia z umyтыми naczyniami. Pomyłona Annie siedziała przy ogniu z Mamą Peg – rozmawiały i robiły na drutach, nie bacząc nawet, jak ich dłonie poruszają się w rytmicznym porządku i trzaskają idealnie skarpety.

– Dostałam list.

Mhairi popatrzyła na przyjaciółkę, w tonie jej głosu usłyszała zaróżowioną nutkę nieśmiałości.

– Od kogo?

Mhairi nigdy nie dostała listu. Ironia w przypadku córki poczmistrza, nieprawdaż? Właściwie nigdy też listu nie napisała, potrzebowałaby bowiem kogoś, do kogo mogłaby coś wysłać, a wszyscy ludzie, których znała, mieszkali tu, na wyspie.

– Od pana Callaghana... od Jamesa.

Mhairi zachłysnęła się powietrzem, słysząc, jak Flora poufale mówi o nim po imieniu. Oczywiście doskonale go pamięta. Kilka tygodni temu spędził na wyspie trzy dni. Przyjaźnił się z właścicielem jednej z firm parających się połowem ryb i zabrał się z rybakami z Grenlandii, lecz burza zapędziła ich do zatoki na parę dni. Widać było jak na dłoni, że Flora wpadła mu w oko, co nie dziwi, bo dziewczyna wpadała w oko każdemu. Z całą jednak pewnością po żadnym przelotnym flircie nigdy wcześniej nie przyszedł do niej list.

– Co napisał? – Mhairi przyglądała się, jak na ustach przyjaciółki pojawia się uśmiech, a w jej oczach jaśnieje zaskakująco miękki blask.

– Że nie potrafi przestać o mnie myśleć i chciałby mnie lepiej poznać.

– A jak mu się to uda? – zzymnęła się Mhairi i zadarła podbródek ku horyzontowi, gdzie w oddali już wzbierały fale, gotując się, by aż do najbliższej wiosny odciąć ich od lądu. Poczowała w środku kłujący cień zazdrości, jak jeżynowy kolec zadzierający skórę.

– Zastanawiał się, czy moglibyśmy do siebie pisywać. – Flora wypowiedziała te słowa z prostotą, lecz Mhairi zdawała sobie sprawę, że to zakrawa na trzęsienie ziemi. Bogaci,

przystojni nieznajomi zaglądali czasem na te niewielkie wyspy, a Mhairi i jej przyjaciółki były już w takim wieku, że perspektywa spotkania napawała je podnieceniem. Niezależnie jednak od tego, jak przystojni i szarmanccy okazywali się tu, na brzegu, zawsze wchodzili na pokład swoich łodzi i odpływali, a nim zacumowali u siebie w domu, flirt z ładną dziewczyną z Dzikiej Wyspy dawno ulatywał im z głów. Z wczesnego dzieciństwa pamiętała, jak się przysłuchiwała, gdy jeden z żołnierzy marynarki, którzy stacjonowali u nich podczas Wielkiej Wojny, tłumaczył, że na łądzie panny z St Kildy uchodzą niemal za syreny albo selkie – są wyjątkowo piękne, lecz po prostu zbyt odległe, a przez to nierealne. Flora odznaczała się nieprzeciętną urodą i Mhairi nie wątpiła, że mężczyzna mógłby przepłynąć cały świat, a i tak nie ujrzałby równie urzekającego oblicza. Mimo to nigdy wcześniej żaden nie pisał.

Aż do teraz.

Mhairi popatrzyła na morze. Nie podobało jej się uczucie, które ścisnęło ją w dołku. Cechowała się słodkim, łagodnym usposobieniem – wszyscy zawsze o niej mówili, że jest „bezzinteresowna” – dlaczego więc zazdrości przyjaciółce szczęścia? Tak jednak było. Niczym odór płynący od zgniłego, cuchnącego wieloryba uczucie to było stęchłe i gorzkie, aż Mhairi się wzdrygnęła.

– Spodobał ci się – stwierdziła cicho, gdy wyszły na plażę i zapatrzyły się w atramentową wodę. W zatoce jak spadłe gwiazdy kołysały się światła: to mężczyźni i Effie pracowali nad wypatroszonym truchłem, tnąc szybko, by ubiec natrętne morze.

– Był dzentelmenem. Rozmawiał ze mną. Inni na ogół tylko na mnie patrzą.

– On też patrzył. – Mhairi przyjrzała się profilowi przyjaciółki. Długie, czarne włosy falujące w wieczornym wietrze, pełne usta, prosty nos, szerokie brwi, z którymi kontrastowały olśniewające zielone oczy.

– Aye. Ale rozmawiał ze mną. A teraz jeszcze napisał.

Mhairi przełknęła ślinę. Na nią nikt nigdy nie patrzył, nie tak. Policzki miała zbyt rumiane, włosy zbyt jaskrawe, biodra nazbyt krągłe, dłonie zbyt szorstkie.

– Co jeszcze było napisane w liście?

– Napisał mi trochę o swoim życiu: że jest biznesmenem, ale w głębi serca odkrywcą. Jego ojciec był przemysłowcem.

– Co to takiego?

– Nie wiem. – Flora wzruszyła ramionami. – Ma małą siostrę, siostrzeńców i siostrzenice. Kiedy nie podróżuje, mieszka w Glasgow.

– Co takiego odkrywa?

– Nie powiedział. Może go zapytam, kiedy mu odpiszę?

– Chcesz mu odpisać?

– A może to głupie pytanie? Nie chciałabym, żeby wziął mnie za prostytutkę.

– prostytutką to ty na pewno nie jesteś – obruszyła się Mhairi. Jej matka nazywała Florę „hultajką”, bo dziewczyna już w młodym wieku odkryła, że uroda ją wyróżnia i czyni kimś wyjątkowym, rzadkim. Flora nauczyła się używać jej dla własnej korzyści: a to uchylała się od obowiązków, a to unikała różgi pastora.

– Chcę, żeby miał o mnie dobre zdanie.

Mhairi usłyszała, że głos przyjaciółki jak rzadko zabrzmiał niepewnie, i złagodniała.

– Jak mógłby mieć inne?

Słońce opadło już za zachodnią grań i zadrzała, bo jej skórę musnął czerniejący wiatr. Odwróciła się do Flory, która pochyliła się odruchowo i zapaliła lampę. Jej piękno zachwycało, nawet gdy ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

Effie i mężczyźni skończyli robotę i wracali. Światła ze zbliżającej się łodzi zaczynały padać niewyraźnie na twarze, już było słychać skrzypienie wiosel szurających o dulki. Mhairi odstawiła lampę i zaczęła zakasywać spódnicę, ukazując gołe stopy, a jednocześnie za plecami jej i Flory rozległ się

chrzęst kroków i szmer głosów. Na plażę przyszli pomóc też inni: Norman Ferguson i Donald McKinnon wyskoczyli jako pierwsi, lądując po uda w wodzie, pomogli wciągnąć łódź i stabilizowali dziób kołyszący się na falach, podczas gdy Hamish Gillies i Effie zaczęli podawać ciężkie kubły.

Mhairi, brodząc na płyciźnie, wzięła pierwszy kubel i podała go Florze, która z kolei przekazała go Mary McKinnon. Mhairi nie była taka głupia, by patrzeć na wielkie kawały różowego, połyskującego mięsa ślizgające się o siebie nawzajem, tak że jucha przelewała się przez brzegi. Flora była mniej powściągliwa i krzyknęła z niezadowoleniem, gdy podawano wiadra. Wreszcie, gdy już wszystko dostarczono, mężczyźni wyskoczyli i wciągnęli łódź na piach. Znow jako ostatni zszedł faktor, który dotarł na suchy ląd w kilku krokach, lecz w odróżnieniu od wyspiarzy nie przywykł do chodzenia na bosaka, więc utykał na kamieniach, przez co mężczyźni i Effie uśmiechali się pod nosem.

– Dużo tego było?! – zawołała Lorna MacDonald, zbiegając. Miejscowa pielęgniarzka zmieniała właśnie opatrunek na nodze Starego Fina.

– No, nie najgorzej – odparł Hamish Gillies, zginając się wpool i zaglądając do kubłów. – Zwłaszcza że zdążył się już do połowy utopić, zanim do niego dotarliśmy.

– Mama chce ochłapy dla psów – zwróciła się Mhairi do najstarszego brata.

– No, są ochłapy – stwierdził Angus i podał jej wiadro wypatroszonego mięsa.

Mhairi nieopatrznie zerknęła do środka i poczuła, jak przewraca się jej w żołądku.

– Co za smród. – Skrzywiła się i prędko zasłoniła dłonią nos i usta. – Na ogół aż tak nie cuchnie.

– Och, to nie mięso. To te czarne gluty, które faktor uparł się zabrać – burknął Norman Ferguson, obrzucając starszego mężczyznę mrocznym spojrzeniem z ukosa.

– Jakie czarne gluty?

– Kiszki – mruknął Norman.

Flora walnęła dłonią w usta, gdy mijał ją kubek odrażającego „gluta”. Mhairi poczuła, że oczy jej łzawią. Nigdy wcześniej nie czuła podobnej woni – słonej, a zarazem przypominającej tytoń, odchody, stęchły, stary papier z ostrą nutą skwaśniałego mleka. Jak plaża podczas odpływu... Nie potrafiła określić, z czym się jej kojarzy.

– Dlaczego, u czarta, przynieśliście to ze sobą? – rzuciła Flora na wdechu, marszcząc piękną twarz i odwracając się z konieczności. – Uch! Ohyda!

– Ten czarny glut, jak to nazywacie – odparował faktor drażliwie, zniesmaczony popisami młodych kobiet – to w istocie dobrze znane lekarstwo na podagrę.

– Na podagrę?

– *Aye*, na którą bardzo cierpi moja nieszczęsna matka.

– Co to podagra? – zapytała Mhairi.

– Nie nazywają jej chorobą bogaczy? – zapytał Donald McKinnon, mrużąc oczy. Widać było, że niedola matki Franka Mathiesona nie budzi jego współczucia.

– *Aye* – potwierdziła Lorna.

– Choroba nazywa się podagra i jest bardzo bolesna – odpowiedział faktor blade. Donald McKinnon i on nie odzyskali wciąż animuszu po zażartej kłótni, jaką parę dni temu stoczyli o cenę, którą plenipotent oferował za czarne pióra maskonura.

– A jak to ma pomagać? – Flora się skrzywiła i chwyciła za nos. – Tylko mi nie mówcie, że trzeba tego dotknąć.

Frank Mathieson zdobył się na uśmiech.

– Nawet więcej, panno MacQueen, trzeba to zjeść.

– Zjeść? – Flora zrobiła tak zszokowaną minę, że faktor się roześmiał.

– W rzeczy samej. Chociaż lekarstwo będzie gotowe dopiero za rok. – Powiódł wzrokiem dokoła po zdziwionych twarzach. Żadne z nich nie widziało wcześniej nic podobnego. Westchnął, jakby znużyła go ich ignorancja. – W odpowiednich warunkach,

czyli jeśli będzie stale wystawione na działanie słońca i morza, stwardnieje i zjaśnieje, niekiedy może nawet zbieleć, jeśli dość długo poleży. Dopiero wtedy można je pokroić na cienkie plasterki i dodać do jedzenia.

Flora wyglądała, jakby zbierało jej się na wymioty.

– I pan właśnie tak robi?

– *Aye*. Ale wprawdzie będę potrzebował czyjejś pomocy. Ktoś musi mi tego doglądać do wiosny, aż tu wrócę. W tym stanie nie mogę tego przewozić, najpierw musi stwardnieć. Kto mi pomoże? – Rozejrzał się po zebranych z nadzieją, ale nikt z obecnych nie miał ochoty wyświadczać mu przysługi, stali więc beznamyślnie i milcząco. Faktor zobaczył pogardę w oczach Donalda i Normana, sceptycyzm na twarzy Hamisha. Co ich obchodziło, że matka plenipotenty cierpi na chorobę bogaczy? Oni sami musieli się borykać ze znacznie trudniejszymi problemami. Popatrzył na Effie, ale ona też marszczyła czoło z niechęcią.

– Cóż, widzę, że nie mogę liczyć na waszą wspaniałomyślność. W takim razie może nakłonię was zapłatą. Za szylinga?

Na te słowa Effie poderwała rękę w górę.

– Ja to zrobię – zapewniła prędko. Jej brat John zginął trzy lata wcześniej, a ojciec był w zbyt sędziwym wieku, by się wspinać po linach, więc to ona musiała im obojgu zapewnić utrzymanie. Pozostali mieszkańcy wioski dokładali od siebie tyle, ile mogli, ale duma nie pozwalała Effie przyjąć jałmużny, dziewczyna walczyła więc jak kocur o każdy męski przywilej, co samo w sobie nastęrczało kłopotów. Tego jednak nikt nie mógł jej odmówić: dziewczyna mogła podjąć się tej pracy bez krzty niestosowności.

Faktor pokręcił głową, choć raptem chwilę wcześniej spoglądał na Effie z nadzieją.

– Nie.

– Nie? – zachłysnęła się.

– I tak jesteś zajęta, panno Gillies, bo masz przecież dodatkowe obowiązki przy byku, prawda?

– Mimo to mogłabym...

– Nie. Byłoby to niesprawiedliwe wobec sąsiadów, że za-skarbiasz sobie wszystkie te względy.

Względy? Mhairi prychnęła z niedowierzaniem, lecz ple-nipotent chyba nie dosłyszał. Przyglądała się, jak policzki przyjaciółki pokraśniały z oburzenia, jak jej oczy zapłonęły błękitnym ogniem.

– Praca nie jest ciężka, lecz przyznaję, że będzie nieprzy-jemna z powodu woni, i właśnie dlatego chętnie zapłacę. – Faktor omiół wzrokiem ich twarze. – Panno MacQueen?

Na żarty mu się zebrało? Dworował sobie kosztem wszyst-kich. Flora zadarła tylko brew.

– Matka nie pozwoliłaby mi się z tym zbliżyć do domu – wycedziła, lecz nikt nie dał się zwieść: wiadomo było, że to nie matka Flory miałyby zastrzeżenia.

– Panno McKinnon, w takim razie może panienka? – Na-gle na Mhairi spoczęło baczne spojrzenie faktora. – Chciałabyś zarobić dodatkowy grosz dla swojej licznej rodziny? A może dogadałbym się z twoim ojcem i odjął wam to od czynszu? Oczywiście gotówka na niewiele wam się przyda.

Mhairi rozchyliła usta. Złowiła spojrzenie Effie i wyczyta-ła w nich oskarżenie o zdradę... ale czy to była jej wina? Ow-szem, Effie sama jedna miała na utrzymaniu siebie i swojego ojca, lecz z kolei ojciec Mhairi miał jedenaście gąb do wykar-mienia, a wszystko, co mogłoby zmniejszyć ciężące na nim brzemię... Kiedyś późną nocą podsłuchiwała rozmowę rodziców, którzy byli przekonani, że wszystkie dzieci już śpią. Nigdy się u nich nie przelewało, lecz coraz trudniej im było powiązać koniec z końcem.

– Bierz to, Mhar! – rozkazał szorstko Angus, gdy się wahała. Pokiwała głową i spuściła wzrok.

– Dobrze, w takim razie ustalone. – Faktor wziął paskudne wiadro i popatrzył na nie z uśmiechem. – Przyniosę to i po-każę, co robić, panno McKinnon. Nie mam wątpliwości, że rodzice będą wdzięczni.

Angus podszedł do niej z marsową miną i podał jej kolejny kubek. Brat był wysoki i postawny, miał potężne ręce i gęstą brodę, która mogłaby należeć do mężczyzny starszego o dziesięć lat. Swoją okazałą posturą wciąż nie omieszkał przytłoczyć siostry tym, jaki jest wielki, gdy jego zdaniem było to uzasadnione.

– Coś tak się wahała?! – obsztorcował ją. – Gdyby ojciec się dowiedział, że byłabyś przepuściła szansę na szylinga...

– Nie przepuściłam. Nie zrobiłabym tego.

– Ale długo się namyślałaś. Za dobra jesteś do takiej pracy, o to chodzi?

Obok nich przeszła Effie, dźwigając dwa kubły, które wyglądały, jakby ważyły więcej niż ona sama. Dziewczyna patrzyła prosto przed siebie. Mhairi odgadła, że ona także się na nią gniewa.

Zauważyła, jak Angus odprowadza po plaży wzrokiem jej smukłą przyjaciółkę.

– Szyling tak czy owak nie robi wielkiej różnicy – odparła ze złością. – Poza tym gdybyś naprawdę chciał odciążyć tatę, tobyś się ożenił. Ale niech ci się nie zdaje, że to będzie ona. Eff jest za mądra dla takich jak ty.

– Och, bo ma w czym przebierać, co?

– Zawsze jest jakiś wybór.

– Czyżby? – Przymrużył oczy i zrobił krok w jej stronę, jak zwykle napastliwy. – A ty co? Kto tu cię zechce, Mhar? A może zostaniesz starą panną? Bo nie widzę, żeby przychodziły do ciebie jakieś listy.

Przełknęła ślinę, widząc, jak w jego oczach odbija się triumfalny uśmiezek. Dokładnie tak jak wtedy, gdy byli jeszcze dziećmi, jej najstarszy brat doskonale potrafił wymierzyć cios poniżej pasa. Mhairi nigdy nie zwabi zalotnika zza mórza jak Flora. Była zbyt zwyczajna na wielką historię miłosną.

Oboje tacy byli.

Angus obrócił się na gołej pięcie i pomaszerował plażą. Ruszyła w ślad za nim w milczeniu.

Z domków wzdłuż Ulicy jaśniały kropki świateł, lecz przepływające statki niewiele wyczytałyby życia z tych punktów. Noc zapadała nad ich samotną wyspą jak czarny całun. Księżyc już wschodził, fale uciszały się łagodnie, a gdzieś w jedwabistych głębiach dawno padły wieloryb nareszcie delikatnie przechylał się do grobu.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

TO UCZUCIE NIGDY NIE POWINNO SIĘ POJAWIĆ

Latem 1929 roku mieszkająca na niewielkiej szkockiej wyspie Mhairi McKinnon potrzebuje męża, ponieważ ojciec dał jasno do zrozumienia, że nie będzie w stanie utrzymać jej przez nadchodzącą zimę. Sąsiad rodziny, Donald, ma przedstawić dziewczynę znajomemu podczas ostatniej podróży w roku, zanim jesienne morze zamknie całą wyspiarską społeczność na świat zewnętrzny. Mhairi powraca jako zaręczona kobieta, która zakochała się bez pamięci – jednak nie w swoim narzeczonym...

Pięknie opowiedziana historia. Zawiera wszystko: miłość, pasję, cierpienie i niebezpieczeństwo oraz wyraziste postacie, które pokochasz – a także takie, które znienawidzisz!

SANTA MONTEFIORE

Nr 21000155

ISBN 978-83-8074-624-4



9 788380 746244



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł